



Anna Strzelec

*Marysia*  
*wnuczka Leonii*

*Anna Strzelec*

*Marysia  
wnuczka Leonii*

© Copyright by

Anna Strzelec & e-bookowo

Korekta:

Ewa Głowiak, Aleksandra Urbańczyk, Maria Michalak

Konsultacje: Sylwia Ulanowska, Jerzy Rostkowski

Zdjęcia:

Anna Strzelec, Tomasz Kusiak

Projekt okładki:

Anna Schütz-Strzelec

Wiersze Mariki: Roma Rappe

ISBN e-book 978-83-7859-625-7

ISBN druk 978-83-7859-626-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2015

*Kochać samego siebie, to początek romansu na całe życie*  
Oskar Wilde

*Moim Przyjaciółom – z podziękowaniem za inspirację,  
wspomnienia i serdeczność*  
Anna Strzelec

*Wszystkie wydarzenia i osoby występujące w tej książce  
są fikcyjne i wytworem mojej wyobraźni.*  
Anna Strzelec

## **Prolog**

(...) Marysia niecierpliwie rzucała co chwilkę w stronę matki pytające spojrzenia i gdy ta skinęła potakująco głową, pobiegła do drugiego pokoju, gdzie jeszcze stały ich bagaże. Po chwili przyszyła z triumfującą miną i stanęła przed Jacques'em.

– Zobacz, mam! – powiedziała i podała mu swoje nowiotkie skrzypce i smyczek, a my spontanicznie zaklaskaliśmy w ręce. Cóż takiego? To tylko skrzypce mojej wnuczki, mniejsze niż dla dorosłego artysty, gdy ja wzruszyłam się niesamowicie. Miałam wrażenie, że jeszcze jeden etap zaczyna się w naszym życiu.

Jacques wziął z namaszczeniem instrument, przeczytał nazwę firmy, która instrument wyprodukowała i pochwalił wybór.

– „Stagg Music” to belgijska firma produkująca szeroki asortyment instrumentów i akcesoriów muzycznych, właśnie dla początkujących artystów, rozpoczynających swoją muzyczną drogę – powiedział do uszczęśliwionej Marysi. (...)

Anna Strzelec, *Akwarele i lawendy.wyd.e-bookowo.pl* 2014

Anna Strzelec *Marysia córka Leonii*

*Tylko intencje zrodzone w sercu mogą zapewnić życiu  
prawdziwe spełnienie i nadać mu sens  
Gandi*

Próbowała uciszyć męczące myśli o wzruszeniu, prawie euforii, jakie towarzyszyły jej momentom pożegnania na lotnisku JFK w Nowym Jorku. W pamięci, niczym na dotykowej komórce ciągle przesuwają się: najpierw twarz mamy z uśmiechem przez łzy. Jeszcze czuła jej objęcie... Yvonne, zawsze opanowana i nie lubiąca demonstrować swoich uczuć... Marika, rzucająca się na szyję Marysi i wołająca: – Tylko dzwonić zaraz, albo pisz! Braciszek, który tak szybko urósł i ściskając ją na pożegnanie, co było raczej do niego niepodobne, szepnął: – zazdroszczę ci... O mało sama się nie popłakała! Do czego to podobne, takie rozstania! Dobrze, że Jacques'a przy tym nie było, bo miał zajęcia w Juilliard School<sup>1</sup>.

Przez prawie pół roku dyskutowali nad pomysłem Marysi. Od dawna było wiadomo, że jej ambicją jest grać, występować i być sławną jak Jacques. Przez kilka minionych lat towarzyszyły im ijej dziewczęce marzenia..., a Jacques – jej drugi mąż i mama chyba najbardziej je popierali. A jednak, gdy ostatecznie poinformowała ich, że chce studiować w Polsce i wysłała już konieczne dokumenty, wszyscy zaczęli się dziwić, dlaczego wybrała uczelnię właśnie tam, a nie w NY, gdy prawie w zasięgu ręki jest „Juilliard”, w której Jacques wykłada?

Mama chciała się upewnić czy Marysia przemyślała swoją decyzję, ciocia Jane z NY też się dziwiła, chociaż Marysia wiedziała, że ciocia tęskni za krajem i w taką podróż z pewnością wybrałaby się razem z nią. Leonia i Jeremi też trochę

---

<sup>1</sup> Juilliard School – nowojorska renomowana wyższa uczelnia muzyczna i artystyczna.

się krzywili, ale bez dramatów. Babcia, najprawdopodobniej w głębi serca ucieszyła się, że ukochana wnuczka zamieszka bliżej, bo w Europie. A jeszcze bardziej ciocia Patrycja, która była wieloletnią przyjaciółką babci Leonii i dowiedziawszy się o projektach studiów panny Morelly, zaprosiła ją do siebie. Wkrótce wszyscy musieli pogodzić się z myślą, że na początku lata Marysia wyjedzie na studia do Polski.

\*\*\*

W podróży samolotem najbardziej lubiła moment startu i za każdym razem ogarniały ją fascynacja i zdziwienie, że dzięki osiągnięciom techniki, to stalowe ptaszysko potrafi wznieść się ponad chmurami. Zgadzała się też ze zdaniem matki, że zbędne są badania kosmosu i wszystkie stacje badawcze zawieszono wysoko w próżni. Marika żartowała ostatnio, że oni tam w górze tylko psują pogodę, bo porządnej zimy u nich już nie ma, wiosna taka króciutka, a latem leje. Jean Antoine, nazywany czasem przez mamę po prostu Antkiem, albo Jasiem zaraz zainteresował się jaką pogodę mają teraz babcia Leni i Jeremi w Prowansji, bo jeśli tam jest prawdziwe lato, to on bardzo chętnie znów chciałby ich odwiedzić.

Oczywiście zazdrościł starszej siostrze straszliwie, gdy w rozmowie z Iwoną wynegocjowała przerwę w podróży do Gdańska, lądowanie w Nicei i krótki pobyt w Antibes.

Marysia lubiła rozmowy i przekomarzanie się z rodzeństwem. Wiedziała, że będzie jej z pewnością ich brakować tak, jak całej rodzinnej atmosfery, ale trudno. Decyzja zapadła, życie musi toczyć się dalej. Podobno Leni prawie skakała z radości, a Jeremi przed przyjazdem Marysi, posta-



nowił w ekspresowym tempie odnowić pokoik na piętrze domu i zawiesić świeże dekoracje z ziół, aby wnuczka czuła się u nich prawdziwie prowansalsko. To było miłe i trochę śmieszne, ale przecież kochała ich bardzo i cieszyła się na spotkanie w domu, który pamiętał czasy małego Jeremiego i jego rodziców. Szkoda, że ich nie znała. Na cmentarzu w Antibes pozostały nagrobki, w platanach śpiewały ptaki, a fotografie w starodawnych albumach przypominały francuskich krewnych. Teraz będzie mogła spędzić początek lata z Leni i Jeremim. Po ich wyjeździe do Prowansji, Port Jefferson dziwnie opustoszało. Kilkakrotne odwiedziny w ciągu minionych lat dostarczały wszystkim wiele radości, ale nie rekompensowały nastroju zapamiętanego z dzieciństwa. Lubili z Mariką wspominać Rachel Thompson, która okazała się ich dalszą ciotką, pozwalała brzdąkać na swoim pianinie i częstowała gorącą czekoladą... – A pamiętasz naszą Królową śniegu? – uśmiechała się Marika huśtając na bujanym fotelu. – Kto to właściwie był? Marysia kiwała przecząco głową. Zagadka pozostała niewyjaśniona.

Allisson z Manfredem<sup>2</sup> często wyjeżdżali, odwiedzając razem z synkiem meksykańskie Santa Fe i sanktuarium w Guadalupe. Mały Miquel, który po długich staraniach i podobno, dzięki srebrnej bransoletce, którą powiesiła Allisson w bazylice na ścianie podarunków dla Morenity, przyszedł szczęśliwie na świat, stał się ich małym cudem. – Ciekawe – mówiła Marika. Dorosli lubią się zachwycać wszystkim, co małe. A gdy człowiek podrośnie, nie mają dla niego tyle czasu – wzdychała filozoficznie, a już odkąd urodził się Antoine, wszystko kręci się wokół niego. Niewątpliwie „cudowne dziecko”. – Nie dramatyzuj siostrzo, masz przecież mnie – śmiała się wtedy Marysia.

---

<sup>2</sup> Zob. Anna Strzelec, *Akwarele i lawendy*, s.26

Żałowała, że nie mogły razem jechać. Od dzieciństwa były bardzo ze sobą związane i właściwie nie miały przed sobą żadnych tajemnic. O Dustinie i jego ostatnich zwierzeniach – Marika też wiedziała...

\*\*\*

Westchnęła i rozejrzała się. Starsza pani, siedząca obok niej, na środkowym miejscu, czytała numer Newsweeka.

Miejsce przy oknie zajmował ciemnoskóry mężczyzna, który z przymkniętymi oczami i słuchawkami na uszach słuchał muzyki. Mijała czwarta godzina lotu. Stewardesy pozbierały opakowania z resztkami posiłku i zbliżyły się z wózkami, proponując gościom przed nocą rozmaite napoje.

– Mademoiselle? Qu'est-ce qu'il y a a boire?<sup>3</sup>

– Un Cola avec du gin, s'il vous plait<sup>4</sup> – zamówiła Marysia.

Summa summarum jestem dorosła. Skończyłam osiemnaście lat, lecę sama do Europy i wolno mi się napić drinka – myślała, odbierając szklaneczkę z rąk stewardesy. Pomieszała cicho kostki lodu i spróbowała napoju. – Marika padnie ze śmiechu, gdy jej opowiem. Starsza pani popijając białe wino, zajmowała się dalej swoją lekturą, a ciemnoskóry pasażer zaczął pochrapywać. O mamo, tyle godzin tutaj – myślała, muszę czegoś posłuchać, bo zwiariuję do rana. Odprowadzona uśmiechniętym spojrzeniem swojej sąsiadki, jednym haustem dokończyła drinka, wyjęła słuchawki i poszukała nagrania „Metalliki”.

Stewardesy rozdawały wilgotne chusteczki, poduszeczki i koce, a później przyćmiono też światła w samolocie. Star-

---

<sup>3</sup> Czego się pani napije? (franc.)

<sup>4</sup> Colę z ginem, poproszę (franc.)

sza pani zdjęła okulary, odłożyła gazetę i uśmiechnęła się do Marysi.

– Dobranoc – powiedziała, przykrywając się kocem. – Zrobimy sobie przytulnie.

Chyba z wrażenia, jedna ze słuchawek wysunęła się z ucha Marysi.

– Pani mówi po polsku! To dobrze, bo już myślałam, że zanudzę się na śmierć – roześmiała się przyszła studentka.

– Słyszałam, gdy żegnałaś się na lotnisku z rodziną. To miły zbieg okoliczności, ale teraz śpijmy, jutro porozmawiamy.

– No tak, było dość głośno i spontanicznie, dobranoc pani.

A to heca... Marysia ponownie włożyła słuchawkę do ucha, przypominając sobie słowa babci Leonii, która często mówiła, że życie jest pełne niespodzianek i należy oczekiwać tych najmilszych i absolutnie nie wolno być pesymistą.

\*\*\*

Dustin powiedział jej, że nosi w sobie magię i przeznaczenie... że obdarowana jest talentem, którego nie powinna marnować na metal. To był ich przedostatni wieczór. Siedzieli nad zatoką, a on właśnie skończył dla niej grać „Schody do nieba”, które tak bardzo lubiła. On i jego gitara. Nastrój zrobił się dziwny, jak zwykle, gdy nieuchronnie na horyzoncie życia pojawia się rozstanie. Pojawianie się czegoś i znikanie „na horyzoncie życia” wymyśliła niedawno Marika, pisząc wiersz dla Marysi na pożegnanie. Siostrzyczka z niewątpliwie artystycznym zacięciem, oddziedziczonym po cioci Stefii, która podobno też umiała pięknie malować obrazy, jako reminiscencje z wielu podróży.

Dustin... Tamtego wieczoru Marysia wolałaby, żeby to on

chciał wyjechać, a ona zostałaby w domu, mając czas na rozmyślenia, bo przecież wcale nie łatwo jest odgadnąć, kto i do czego właściwie jest stworzony? I dla kogo. Z kim żyć, wspierać, organizować wspólne życie? Zupełnie nie wiadomo i nic z tych rzeczy jeszcze nie pragnęła. Przynajmniej na razie. Dustin siedział zamysłony, a ona zaczęła głośno się zastanawiać się, czy powinna dalej grać klasykę, której – jak czasem, górnolotnie żartował Jacques – była królową skrzypcowych dźwięków. A może na studiach powinna zupełnie zmienić profil? I wtedy Dustin powiedział o magii, którą ona w sobie nosi i, że będzie mu jej bardzo brakować.

Teraz poszukała w mp4 nagrania kilku jego utworów, które dał jej przed pożegnaniem. Jak to się stało – myślała, że nie zauważyła dotąd nic w jego zachowaniu, co mogłoby świadczyć o tym, że nie była dla niego tylko koleżanką z Community collegu, w którym poznali się i studiowali dwa lata, bo było tam taniej, a na czteroletnie studia, jak stwierdzili oboje, zawsze można sobie później pozwolić. Spędzali więc ze sobą sporo czasu, bo oprócz normalnych zajęć, chodzili na próby ich uczelnianego zespołu. Występowali na szkolnych i parafialnych uroczystościach oraz w NY City, a po nich Dustin odwoził Marysię do domu. Śmiali się i często żartowali, ale Dustin nigdy dotąd nie próbował jej objąć, ani powiedzieć czegoś, co wskazywałoby na to, że chodzi o coś więcej... Tak trwało do ostatniego wieczoru.

Lubiła jego typ urody. Wysoki, szczupły, o ciemnych, prostych włosach, bardzo niebieskich oczach i przesympatycznym uśmiechu. A gdy grał i śpiewał, dziewczyny, nie tylko z ich roku były zauroczone i z pewnością zazdrościły, że on interesuje się tylko Marysią. Tak mówiła dobra obserwatorka – Marika, i że Dustin jest „odlotowy”, a ona może się

nim zająć, gdy Marysia wyjedzie. Jej dowcipna siostrzyczka.

Z całowaniem tego wieczoru też wyszło jakoś spontanicznie, pierwszy raz, ale bardzo przyjemnie i jakby samo zrozumiale, bo rozstawali się po dwóch latach studenckiego bycia razem i nie wiadomo na jak długo. Odprowadził ją później do domu, życzył powodzenia i obiecał, że jeśli mu nic nie stanie na przeszkodzie, to pożyczycy samochód od rodziców i przyjedzie na lotnisko. Stała przy wejściu do domu i czekała, że Dustin obróci się i wtedy pomacha mu ręką, jak przy pożegnaniach w niektórych filmach, albo w jednej ze scen baletu „Romeo i Julia” Prokofiewa, którego muzyczny motyw lubiła grać.

Dustin nie obrócił się. W sumie, dobrze, że nie przyjechał na lotnisko, bo spowodowałoby to jeszcze więcej rozgardiaszu przy pożegnaniu. Coś mu stanęło na przeszkodzie? Trudno, ale obiecali sobie zostać w kontakcie... Zabrzmiało to, co prawda trochę oficjalnie, ale, jak to kiedyś mówiła babcia Leonia, o zasadach *savoir-vivre*<sup>5</sup>, pierwsza pisze lub telefonuje osoba, która wyjeżdża. I tak też będzie.

Ułożyła się wygodniej, na ile to było możliwe, na rozłożonym siedzeniu i postanowiła usnąć. Znow jak slajdy przepływały w jej pamięci sceny z uroczystości zakończenia collegu. Odbierali dyplomy, z radością i tradycyjnie obracali swoje birety na głowach. Na widowni siedziały zadowolone rodziny dyplomantów. Później koncert w wykonaniu absolwentów i sążniste oklaski. Pożegnanie i podrzucanie ze śmiechem biretów w górę, kto wyżej, na skwerze, przed college'em. Dustin dostał od swojej siostry bukietik kolorowych frezji i dał go Marysi, więc miała dwa, bo pierwszy, z różyczek i z niesłychanie przejętą miną wręczył jej braciszek. Mo-

---

<sup>5</sup> Zasady dobrego zachowania ( franc.)

menty opuszczania szkoły są radosne i jednocześnie trochę smutne. Dziewczyny ścisnęły się, niektóre spontanicznie i łzawo. Omawiano terminy spotkań w czasie wakacji, gdzieś na tańce, może jakiś wypadek nad ocean. Tak było i już się nie powtórzy... bo jeden etap życia został zakończony. Zobaczyła Dustina, który czekał na nią stojąc w cieniu platanów, rosnących przed szkołą. Szła powoli w jego kierunku, czując znów zapach frezji. Oczy miał smutne i ciemnoniebieskie... – Dlaczego wyjechałaś? – zapytał. – Miałem ci jeszcze tyle do powiedzenia... Dotknął jej ramienia, powiedział jeszcze: – excusez-moi, a ona zdziwiła się, że Dustin zna język francuski i za co ją przeprosza.

– Excusez-moi, madame<sup>6</sup> – usłyszała ponownie i otworzyła oczy. To ciemnoskóry towarzysz podróży usiłował minąć jej miejsce, podczas, gdy ona wyciągnęła swoje długie nogi na całą szerokość przejścia.

– O, pardon! – Marysia próbowała zetrzeć z oczu resztki snu, ale powrót do rzeczywistości był trudniejszy, niż kiedykolwiek. Skąd Dustin i zapach frezji? I to tak bardzo sugestywnie... Leżała jeszcze przez chwilę z zamkniętymi powiekami, gdy przyплыł do niej znów znajomy zapach. Obróciła głowę w stronę swojej sąsiadki i uśmiechnęła się widząc ją, odświeżającą sobie szyję i dłonie wilgotnymi chusteczkami.

– Dzień dobry, ależ mocno zasnęłam.

Starsza pani pokiwała głową:

– Tak, spałaś jak kamuszek. Lot był spokojny, więc ja też trochę odpoczęłam. Kończysz swoją podróż w Nicei, czy udajesz się gdzieś dalej?

– Do Antibes, a na lotnisku odbiera mnie babcia i dziadek – odpowiedziała Marysia z uśmiechem. Pierwszy raz nazwała Jeremiego „dziadkiem” i ta forma rozbawiła ją.

---

<sup>6</sup> Przepraszam panią (franc.)

– Wakacje?

– Właściwie dość krótkie, raczej odwiedziny– zwierzyła się. Muszę dalej lecieć do Gdańska, bo od 22–28 czerwca mam egzaminy na Akademię Muzyczną.

– O, to pięknie – pochwaliła starsza pani. – Na jakim wydziale?

– Skrzypce.

– Dawno już grasz?

– Od dzieciństwa.

Towarzyszka podróży uśmiechnęła się i Marysia miała ochotę jeszcze coś powiedzieć, ale stewardesy zaczęły ponownie rozdawać wilgotne ręczniczki, zbierać koce, poduszki, robiąc jak zwykle niezły rozgardiasz. Mile zaczęta rozmowa została zawieszona. Wrócił też ciemnoskóry pasażer spod okna i zajął swoje miejsce, a obsługa kontynuowała pokładowy rytuał serwując tacki z porannym posiłkiem.

– Jak dobrze, że dali coś ciepłego. Nie lubię zimnych kanapek – komentowała starsza pani, rozpakowując z folii parującą jeszcze zapiekankę.

Przypomniało to Marysi każdorazowe stwierdzenie mamy, która wolała zjeść owoc albo sałatkę zamiast zmęczonej, małej bagietki z serem lub z salami.

– Tak, ja też – kiwnęła głową i poprosiła stewardesę o kawę.

– Przygotowałaś już repertuar muzyczny?

– Ależ oczywiście! Dokumenty też zostały wysłane zgodnie z wymaganiami. Oczywiście Marysi zabłyśły radością i jej towarzyszka spoglądała na nią z sympatią.

– Lubię muzykę klasyczną, skrzypcową. Uchylisz mi rąbka tajemnicy, co wybrałaś?

– Bardzo chętnie. Mogłam przygotować dowolny kaprys

lub etiudę w solówce i wybrałam Niccolò Paganiniego i jego Kaprys op.1 nr 24.

Sonaty Jana Sebastiana Bacha: Sonatę No. 3 i Trio jego sonat, bo nie mogłam się zdecydować – roześmiała się. Mają żywsze tempo, bo tak szczerze mówiąc, to nie przepadam za Bachem, ale to trio jest dynamiczne i fajnie się je gra. Kocham jego toccatę i fugę d–mol na organy. Marysia była w swoim żywiole. – Przed kilku laty, gdy odwiedziłyśmy Gdańsk z moją mamą i młodszą siostrą, ciocia zabrała nas na koncert organowy do Oliwy. Ktoś, nie pamiętam nazwiska artysty, grał właśnie te utwory. To była uczta!

– A dlaczego skrzypce stały się twoim instrumentem?

– Ach, to nasza rodzinna, amerykańsko– prowansalska historia. Drugi mąż mojej mamy jest skrzypkiem.

Pogawędka z nieznaną była co prawda sympatyczna, ale Marysia uznała, że „rąbek” informacji został wystarczająco odsłonięty.

– Zostaje pani w Nicei?

– Tak, postanowiłam podobnie jak ty zrobić sobie przerwę w podróży i zarezerwowałam parę dni w niedużym hotelu, w centrum, skąd, jak to się mówi, wszędzie jest blisko.

I pani Elżbieta pokazała Marysi otrzymany z Nicei kolorowy folder.

– W samym sercu Nicei – powiedziała.

– Hôtel Amaryllis, 5 rue d’Alsace–Lorraine.

Niezbyt szeroka ulica z pensjonatami i kolorowymi szylkami, które zapraszały do wejścia. Markety i sklepiki z souvenirami przedstawiały się równie sympatycznie.



– Nie przepadam za luksusem i nikt na mnie na czeka –do-  
dała.

Zabrzmiało trochę dziwnie, smutnawo, tym bardziej, że star-  
sza pani po chwili wyciągnęła rękę:

– Poznajmy się, Elżbieta Szarocka.

– Maria Morelly. Marysia.

– Jesteś Polką?

– Tak. Nazwisko pochodzi od partnera mojej mamy.

Powróciło wspomnienie sprzed kilku lat, gdy po narodzinach  
Jasia – Antosia, Jacques zaproponował Yvonne, aby nadać dzie-  
ciom jego nazwisko. Przyjęły ten pomysł z entuzjazmem, chociaż  
Marika, jak to ona, wieczorem w ich pokoju, zaczęła filozofować:

– Słuchaj, nie rozumiem, tylko my? A mama? On nie chce  
być jej mężem?

Marysia, która rozczesywała właśnie swoje długie włosy przed  
pójściem spać, odłożyła szcztokę i usiadła na łóżku obok siostry.

– Daj spokój, przecież to ich sprawa. Będą chcieć ślub, to  
go wezmą, a zresztą, czy to takie ważne? Mama już raz miała  
i zobacz, co się porobiło. Nie będziemy się wtrącać, a ty ani mi  
się waż ich o to pytać!

– Ojej, pewnie, że nie, ale ja bym chciała mieć ślub z chłop-  
akiem. Marika położyła się i rozmarzonym tonem perorowała da-  
lej: – mieć długą sukienkę z ogonem i dużo jasnoróżowych róż.

Marysia roześmiała się: – to nazywa się trenem, a nie ogonem,  
ty głupiutka, a poza tym ślub bierze się przeważnie z chłopakiem.  
Nie miała zamiaru uświadamiać siostry o innych przypadkach  
życiowych i przyjaźniach męsko – męskich, o których słyszała.  
Marika przyjęła jej słowa jako dowcip tej starszej, która zawsze  
wiedziała wszystko lepiej.

Ależ to było dawno...

\*\*\*

Pani Elżbieta obrała mandarynkę i poczęstowała Marysię.

– Za dwie godziny powinniśmy lądować w Nicei. Czy twoi krewni wiedzą, że jesteś już niedaleko?

– Myślę, że tak. Mama obiecała śledzić w Internecie przebieg naszego lotu i kontaktować się z babcią Leonią w Antibes.

– Leonia? Piękne, poetyckie imię.

– Zgadła pani. Ona zajmuje się pisaniem prozy i poezji. Przepraszam, posłucham trochę muzyki. Marysia założyła ponownie słuchawki i z mp4 zanurzyła się w dźwięki bachowego trio. Leni i Jeremi z pewnością będą chcieli posłuchać jej interpretacji.

